

Było to tak.

Deszcz padał przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Spoglądaliśmy w niebo z utęsknieniem, jakby każda kolejna kropla miała przelać gorycz oceanów i pogrążyć nas w ostatecznej zagładzie. Ale przestało padać i zza chmur wyrzało Słońce. Zdążyliśmy już zapomnieć, jak przerażająca i cudowna zarazem jest jego światłość, za którą tak tęskniliśmy. Byli tacy, którzy padali w pokłonach, jakby błagali, by już nie zniknęło na tak długo, byli tacy, którzy wyrażali przemoczonymi pięściami, byli też tacy, którzy zatracali się w opętańczym śmiechu, bo trwoga przeszła już ich tak bardzo, że nie mogli uwierzyć, że to nie wydarzy się ponownie. Ale Słońce trwało. I nie zniknęło następnego dnia, ani następnego, ani następnego...

Dał się słyszeć trzask palonego drewna, które osunęło się na spód ogniska. Twarz mężczyzny stężała w grymasie, który przyprawił o ciarki siedzących obok ludzi.

- Naprawdę tak było, dziadku? Naprawdę deszcz padał tak długo, a słońce zniknęło? - zapytał jeden z malców, których cała grupka siedziała tuż obok zamysłonego mężczyzny. Nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt lat, choć sam czuł się, jakby przeżył już o dwa żywoty za długo.

A może było inaczej? Może wcale nie spotkał nas biblijny potop, a słońce nie zniknęło na tak długo? Może nic z tego, co pamiętamy, się nie wydarzyło, a wszystko to, o czym zapomnieliśmy, wydarzyło się gdzieś indziej i kiedy indziej? Sam już nie wiem, co jest prawdą, a co tylko wspomnieniem, w które chcemy uwierzyć, żeby zapomnieć o tym wszystkim, co doprowadziło nas do tego miejsca..

- No, pora już spać, jutro czeka nas ważny dzień, a chyba wszyscy jesteście już zmęczeni, prawda? - wysoki mężczyzna siedzący naprzeciwko tego, który snuł opowieść zdecydowanym ruchem ręki dał znać wszystkim zgromadzonym, że naprawdę pora już zakończyć posiedzenie. Ogień powoli dogasał.

- Choć, tato, już pora. Jutro wrócimy do opowieści.

*

Jest trzeci dzień lipca, rano jest chłodny, ale rześki. W osadzie wszyscy jeszcze śpią. Z wczorajszego ogniska zostały już tylko popioły. Pierwszy oczy otwiera Tomasz, najstarszy z nich wszystkich. Wstaje i podchodzi do okna. Widzi kilka domów ukrytych wśród drzew. Widzi śpiących w nich ludzi, którzy pogrążeni jeszcze w snach wspominają utracone wczoraj. Widzi przeszłość, której nie da się już odzyskać, ale rozumie, że to ostatnia rzecz, do której powinni

dążyć. Widzi przyszłość, która może nadejść, jeśli uwierzą w opowieść, którą nosi w sercu.

Gdyby był bohaterem naiwnej powieści, łza spłynęłaby mu po policzku, kreśląc bruzdę na zbyt wczesnie postarzałej twarzy. Gdyby był bohaterem epopei, szykowałby się do walki zagrzewając swoich wojowników. Gdyby był bohaterem poematu, układałby wiersze ku chwale lepszego jutra. Gdyby był...

Ale Tomasz nie był ani bohaterem, ani postacią z literatury. Zresztą nie było już literatury. Była tylko opowieść, której był strażnikiem i posłańcem. Nie chciał tego (za każdym razem gdy tak myślał, czuł się, jakby właśnie był postacią z jakiegoś fatalnego fantasy, w której wybraniec zawsze okazuje się być ten, który wcale się o to nie prosi), wiedział jednak, że to najlepszy sposób. Jedyny, jaki znał.

W chwili, w której łza nie spłynęła mu po policzku, a na drugim krańcu planety nie zadrżało serce innego człowieka, który czuł dokładnie to samo, co on, Tomasz wyszedł przed dom i spojrzął w Słońce.

Było tam.

*

- Tato, opowiedz proszę, jak udało nam się to przetrwać? - chłopiec nie dawał za wygraną. Wiedział, że ojciec nie lubi tej historii, opowiadał ją bowiem już tyle razy, że sam nie wiedział, co jest w niej prawdą, a co zmyśleniem. Zresztą nie miał pewności, że robi to jakkolwiek różnicę, syn bowiem uwielbiał, gdy z każdym kolejnym opowiadaniem pojawiała się w tej historii coś nowego, dzięki czemu wciąż ożywała na nowo i nigdy się nie nudziła. Nieważne było, czy było ich dwunastu czy czterdziestu, czy minęło dwadzieścia dni czy tylko osiem. Czy zeszli na głębokość tyłu czy tyłu metrów i czy ręka, którą wówczas chwycił, była lewą, czy prawą. Ważne było tylko, że zawsze na końcu opowieści pojawiała się matka, która brała go na ręce i mówiła, że już po wszystkim, że teraz wszystko będzie dobrze. Ojciec za każdym razem, gdy to mówił, czuł się, jakby odgrywał scenę z taniego romansu, w którym bohaterowie wychodzą cało z najgorszych opresji, a w chwili największego zagrożenia wspierają się najbanalniejszymi kwestiami. Ale syn je uwielbiał, a on sam wiedział, że wbrew wszystkiemu, okazały się prawdziwe.

Ojciec westchnął, wziął syna na kolana i pomyślał, że gdyby mógł przypomnieć sobie jedną nieprawdziwą rzecz z przeszłości, która już nie powróci, to chciałby, aby było to wspomnienie jego ojca, który brał go na kolana, żeby opowiedzieć mu jakąś niezwykłą historię.

Albo chociaż najzwyczajniejszą ze wszystkich, ale...

*

To się nigdy nie wydarzyło. Przynajmniej nie tak i nie wtedy. Wiedzieliśmy, że jedynym sposobem, aby przetrwać, jest zapomnieć o tym, jak żyliśmy wcześniej. Kim się staliśmy – wbrew sobie i własnym potrzebom. To było trudne, trudniejsze, niż cokolwiek innego, bo stawaliśmy się tacy bardzo długo. Stopniowo, ale mocno. Do ostatniej tkanki. Ostatniego atomu. Ostatniej niepodzielnej cząstki, która w ostatecznym rachunku i tak stawała się podzielna. Jak nasz apetyty. Niepohamowany i na wszystko. Nie liczący się z konsekwencjami, bo nie chcący o nich myśleć. Tyle rzeczy zaprzętało nasze głowy. Tyle rzeczy ich nie zaprzętało. Tyle mieliśmy do zrobienia. Tyle rzeczy nie zrobiliśmy. Mówili, że jest już za późno. Nigdy nie jest za późno. Zawsze jest za późno. Było za późno na zachowanie tego, co mamy, na ratunek płonącego domu i tonącego okrętu. Jedyne, co nam pozostało, to zbudować nowy – na zgliszczach starego, na wraku tego, który poszedł na dno. Nie było już czasu ani miejsca na odbudowę. Tylko dzięki temu, że to zrozumieliśmy, udało nam się. Popioły. Musieliśmy poczekać, aż wszystko się dopali, do gruntu, do fundamentów, do ostatniej daremnej myśli, że da się to wszystko jeszcze ugasić. Kiedyś była taka książka, o strażakach, tylko że oni zamiast gasić pożary, palili różne rzeczy. Nie pamiętam tytułu, ale wiem, że my też byliśmy takimi strażakami. Spaliliśmy wszystko. Była kiedyś taka historia, o ptaku albo innym stworzeniu, który też się spalał i odradzał z własnych popiołów. Była taka historia, o wielkim deszczu i wielkiej wodzie, które miały zmyć wszystkie nieczystości młodego jeszcze świata. Ale zdążyliśmy się zestarzeć, w brudzie i mroku większym, niż ktokolwiek z nas mógł sobie wyobrazić. Wierzyliśmy, że nadejdą jeszcze ciepłe deszcze. Wierzyliśmy, że po drugiej stronie słońca jest więcej jasności. Snuliśmy opowieści coraz bardziej zawiłe i takie, w które coraz mniej chcieliśmy wierzyć. W które coraz trudniej było nam uwierzyć. W które na sam koniec nie wierzył już nikt. Które same w siebie nie wierzyły. Zostało nam już tylko jedno. Opowiedzieć wszystko raz jeszcze. Od nowa. Od samego początku...

*

Było to tak.

Pewien człowiek zszedł pod ziemię i nie było go bardzo długo. Świat o nim zapomniał. Choć poszedł po najcenniejszą rzecz z wszystkich cennych rzeczy, które moglibyśmy sobie wyobrazić, zapomnieliśmy o nim. Minął rok, a on nie wracał. Minął drugi rok, a jego wciąż nie było. Minął

trzeci rok i zaczęliśmy wątpić, że kiedykolwiek jeszcze wróci. Gdy minął czwarty rok, już tylko nieliczni czekali na jego powrót, gdy minął piąty rok prawie nikt już nie pamiętał, po co w ogóle poszedł. A gdy wrócił, nikt go nie poznał, a to, co przyniósł, było już niepotrzebne, było bowiem za późno.

Ale dla niego nie minęło tyle lat. Gdy minął rok, dla niego minął tylko jeden dzień. Gdy wrócił, nie upłynął dla niego nawet tydzień, ale czuł, jakby nie było go w tym miejscu od wieków. To, co przyniósł, a na co wszyscy tak czekali, nie było już potrzebne. Miał jednak ze sobą coś jeszcze, coś, czego nikt się nie spodziewał i na co nikt nie czekał, a co miało się okazać ratunkiem dla nas wszystkich.

Przyniósł ze sobą...

*

Opowieść, którą miał zacząć, dorastała w nim stopniowo. Najpierw była dźwiękiem, który wydawały jego buty, gdy szedł po miękkiej ziemi. Potem była zapachem wilgotnych ścian, które otaczały go tak ciasno, że czuł się, jakby przeciskał się przez zbyt mocno dopasowany kokon – tyle, że miał wyjść jako poczwarka, a nie motyl. Potem była dotknięciem pajęczyny na jego twarzy, smakiem soli osiadającej na jego rękach, aż wreszcie stała się obrazem światła, które przeniknęło go do głębi tak mocno, że poczuł ból w każdym kawałku ciała. A potem pojawiły się słowa, jedno po drugim, całe zdania, akapity, strony, które zapełniały mu głowę, nie mógł ich jednak zapisać. Nikt już nie pisał, nie dlatego, że nie potrafił czy nie mógł. Wbrew wszystkim apokalipsom nie było tak, że nagle skończyły się wszystkie długopisy świata i spłonął każdy kawałek papieru.

Nikt już tego nie potrzebował. Nikt już w to nie wierzył. Liczyło się już tylko słowo.

Wypowiedziane.

A on potrafił opowiadać. Wiedział, że dar, który był kiedyś jego przekleństwem, który zawsze wydawał mu się tak niepraktyczny, który nie nadawał się do żadnego listu motywacyjnego, który nie robił wrażenia na żadnym pracodawcy, który i tak nie chciał go przyjąć, bo nikt nikogo nie chciał już wtedy zatrudniać, bo gdy wszyscy boją się końca, liczą się tylko ci, którzy n a p r a w d ę coś potrafią.

Więc zaczął opowiadać.

Na początku nie słuchał nikt. Potem słuchali tylko nieliczni. Z czasem opowieść sięgała coraz dalej, i dalej, i dalej. Później trudno było znaleźć kogoś, kto jej jeszcze nie poznał – wiedzieli bowiem, że to jedyny ratunek.

To wcale nie wymagało wielkiego charakteru, pomyślał i poczuł, jakby powtarzał słowa, które już gdzieś kiedyś pojawiły się w jego głowie, jakby z zapomnianego wiersza (nie mógł sobie przypomnieć, co to był za tekst, a nie dało się już tego nigdzie sprawdzić, może kiedyś pozna kogoś, kto będzie to wiedział?). Miał to uczucie bardzo często, jakby co jakiś czas pojawiały się w nim ślady zapomnianych historii, których prawie nikt nie był dziś już w stanie powtórzyć. Wiedział jednak, że nie wolno mu się poddawać, że wszyscy czekają, na kolejny akt historii, która pozwalała im zapomnieć i dzięki której mogli pamiętać...

*

Wokół ogniska siedziało już kilkadziesiąt osób. Płomienie były jeszcze bardzo niewielkie. Między dwójką chłopców kręcił się kundel o najczarniejszym pysku, jaki tylko można było sobie wyobrazić.

- Morus! Morus! Chodź tu! - zawołał chłopiec, który znalazł psa w dniu, w którym usiadł przy ognisku po raz pierwszy. Od tego czasu zawsze siedzieli razem i chłopiec miał wrażenie, że pies słucha z nie mniejszą uwagą, niż on sam i wszyscy zgromadzeni.

Płomienie robiły się coraz większe. Był ciepły lipcowy wieczór. Wszyscy mieszkańcy osady byli gotowi. Tomasz wziął do ręki chleb i spojrzał na siedzących obok ludzi. W ich twarzach widział wszystkie lęki i nadzieje, które targały nim samym. Wszystko, czego się bał i wszystko, co sprawiało, że był w stanie ten strach pokonać. Trwoga, zgroza, ulga, oczyszczenie. Gdzieś, kiedyś o tym czytał, zawsze się temu dziwił, bo nigdy tego nie rozumiał. Ale teraz wiedział, wiedział, że inaczej się nie da. Rozejrzał się po zebranych raz jeszcze i utkwiał wzrok w coraz większych płomieniach. Zawsze lubił spoglądać w ogień. Przerazał i fascynował równocześnie. W takich chwilach jak ta czuł się jak pierwotny człowiek, który z niemym podziwem patrzy na płomień. Płomień, który może go pochłonąć i który może pomóc mu przetrwać.

Stworzyliśmy już opowieść, która nas zniszczyła, pomyślał, pora na taką, która nas odbuduje. Nagle usłyszał cichy dźwięk, jakby delikatnie uginającej się pod stopą ziemi. Po chwili poczuł zapach drzew, rosnących za plecami zgromadzonych ludzi. Poczuł powiew wiatru na przedwcześnie pokrytej zmarszczkami twarzy. Smak chleba wypełnił mu usta, które zaraz miały wypowiedzieć pierwsze słowa.

Zobaczył światło bijące z coraz mocniej rozpalającego się ogniska i odezwał się do siedzących dookoła niego ludzi:

- Było to tak.

